

DZIECKO W WIRZE WOJNY

Urodziłam się w 1932 roku. Pierwszego września 1939 roku miałam przekroczyć po raz pierwszy progi szkoły. Miałam...ale tamtego dnia zamiast w ławce szkolnej, siedziałam ... na tobołkach w pociągu ewakuacyjnym.

Mój bezpieczny, mały świat

Od kiedy byłam w stanie coś dokładnie sobie zapamiętać, moim małym światem był Zbąszyń – sympatyczne miasteczko, położone w pobliżu malowniczego jeziora, wtulone w zielen lasu i łąk, przecięte rzeką Obrą. Na rogatkach Zbąszynia przebiegała wtedy granica państwowa pomiędzy Polską i Niemcami.

Ojciec mój pracował w urzędzie celnym, mieszczącym się w nowoczesnym (zbudowanym pod koniec lat dwudziestych minionego wieku) budynku dworca kolejowego, Mama – jak w tamtych latach większość żon i matek - zajmowała się gospodarstwem domowym oraz wychowaniem dzieci. Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze domu nr 14 przy ulicy inż. Wigury. Pamiętam, że w domu tym było pięć mieszkań: dwa na parterze, dwa na piętrze i jedno w kondygnacji dachowej. Przypominam sobie również ówczesne otoczenie budynku: od frontu – mały ogródek, podzielony na dwie części ubitą ścieżką prowadzącą do schodków i głównych drzwi wejściowych do domu, a na zapleczu - sporych rozmiarów podwórko.

Z rosnącym z wraz z wiekiem zainteresowaniem, obserwowałam nie tylko to co mnie na co dzień otaczało, ale także wszystko, co napotykałam w mieście: barwne wystawy sklepowe, latarnie gazowe na ulicach (zapalane każdego wieczoru przez pracownika gazowni, posługującego się długą tyczką), drzewa wzdłuż ulic (szczególnie obficie kwitnące akacje przy ulicy wiodącej do dworca PKP), a także pawie w parku, łabędzie pływające po Obrze i tak dalej. Wszystko było ciekawe i warte zainteresowania.

Gdy nieco podrosłam, rodzice zabierali mnie w niedziele do kościoła, którego dwie białe, bliźniacze wieże górowały nad panoramą miasta. Przez jakiś czas uczęszczałam do ochronki (przedszkola), prowadzonej przez siostry zakonne. Pamiętam dzień 16. maja 1938 roku, kiedy Ksiądz Biskup Dymek z okazji przyjazdu do parafii Zbąszyń, odwiedził także ochronkę. Przypadł mi wtedy zaszczyt wygłoszenia wiersza powitalnego, wręczenia bukietu kwiatów i ucałowania biskupiego pierścienia. Z pewnością nie pamiętałabym już tak dokładnie tej daty gdyby nie fakt, że widnieje ona na otrzymanym wtedy obrazku, który zachowałam do dziś. Duże wrażenie wywarł na mnie także uroczysty capstrzyk z orkiestrą dętą, urządzony w mieście z okazji święta 11 Listopada. Ale poza niewielu szczególnymi wydarzeniami, życie codzienne - według mojej ówczesnej oceny - toczyło się zwyczajnym, spokojnym trybem, urozmaicanym jedynie od czasu do czasu jednodniowymi wypadami pociągiem do Poznania, gdzie w programie było

zwiedzanie palmiarni lub ogrodu zoologicznego. Pamiętam, że przy sprzyjającej pogodzie chodziliśmy w gronie rodzinnym lub z przyjaciółmi na spacer do lasu lub nad Obrę, czasem Tata urządzał nam przejażdżkę po rzece wynajętą łódką. Wszystko co dotyczyło mojej rodziny, a także tego co mnie wtedy otaczało – w domu i w miasteczku – postrzegałam jako należycie "poukładane", a ja w tym małym świecie czułam się bezpieczna i szczęśliwa.

Bulwersujące wydarzenie

Do tej mojej spokojnej rzeczywistości wdarł się pewnego dnia ostry zgrzyt, który uświadomił mi, że świat nie jest tak bezpieczny, jak dotąd sądziłam.

W kilka dni po moich szóstych urodzinach, w chłodny, jesienny wieczór 1938 roku, ulice Zbąszynia zaroily się ogromną liczbą ludzi w różnym wieku z walizkami i tobołkami. Niektórzy siedzieli na swoich bagażach albo bezpośrednio na płytkach chodników. Inni kręcili się bezradnie, a zewsząd słychać było płacz, rozpaczliwe zawodzenie, jęki i okrzyki w niezrozumiałym dla mnie języku. Był to straszny, przykry obraz. Nie mogłam pojąć, co się dzieje. Wkrótce usłyszałam, że ludzie na ulicach - to Żydzi, których Niemcy wyrzucili z domów i mieszkań i pod groźbą karabinów, siłą wepchnęli przez niemiecko-polską granicę do Zbąszynia. Moja psychika doznała wstrząsu: uznałam, że wydarzyło się wielkie zło, a ufność do świata i ludzi została ogromnie zachwiana. Współczułam bardzo tym wygnańcom. Nie mieściło mi się w głowie, jak można kogokolwiek tak po prostu wyrzucić z domu i kraju zamieszkania.

Fakt, że nagle ludność miasta powiększyła się – jak mówiono – nieomal trzykrotnie, był dla władz miejskich niewątpliwie ogromnym wyzwaniem. Trzeba było zapewnić wygnańcom jakiś dach nad głową, wyżywienie i choćby minimum warunków sanitarnych. Pomoc wygnańcom niesły tylko władze miasta, ale także właściciel ziemski z pobliskich Perzyn Bernard Skórzewski i wielu indywidualnych mieszkańców. Problem trwał kilka miesięcy. Wygnańcy opuszczali Zbąszyn stopniowo i - jak słyszałam – ostatni wyjechali w maju 1939 roku.

Niespokojne lato

W czerwcu 1939 wyjechaliśmy do Dziadka na Pomorze. Pogoda była wspaniała. Po powrocie do Zbąszynia, cieszyliśmy się wprawdzie nadal słońcem, wodą i przyrodą, ale coś tę radość mąciło: W przygranicznym mieście narastał niepokój z powodu groźby wojny ze strony Niemiec. Słyszałam jak dorośli komentowali doniesienia prasowe i wsłuchiwali się pilnie w informacje radiowe. Zauważyłam, że moi Rodzice i nasi znajomi, którzy chodzili do szkół w czasie zaboru pruskiego i znali język niemiecki, z coraz większym zdenerwowaniem mówili o groźnych komunikatach, płynących z niemieckich radiostacji.

Do uszu wpadały mi strzępki rozmów o tym, że Niemcy silnie się zbroją, ale jednocześnie słyszałam także, że pomiędzy Polską i Niemcami podpisany został pakt o nieagresji oraz to, że Anglia i Francja są naszymi sprzymierzeńcami. Padało wiele niezrozumiałych dla mnie słów. Nie ukończyłam jeszcze siedmiu lat, nie miałam pojęcia o wielkiej polityce, niemniej jednak doskonale wyczuwałam atmosferę niepokoju, która towarzyszyła rozmowom dorosłych i po prostu...bałam się. Bałam się Niemców, wiedząc w jaki sposób potraktowali Żydów jesienią 1938 roku, bałam się

wojny, bo miałam świadomość, że podczas wojny giną ludzie.

Pewnego dnia usłyszałam, że na moście kolejowym przez Obrę ukazało się ogłoszenie o zakazie korzystania z kładki dla pieszych. Był to most strategicznie ważny, gdyż znajdował się na linii kolejowej Warszawa – Berlin. Ludzie mówili:

- *Pewnie wkrótce dojdzie do wybuchu wojny, dlatego - w ramach przygotowań do obrony - most został zaminowany i stąd ten zakaz.*

Nerwowość narastała. Po domach rozpoczęły się nietypowe przygotowania: Gromadzono zapasy sucharów i innych trwałych produktów żywnościowych, wytapiano smalec połączony z mięsem, zaopatrywano się w większą ilość świec, nafty i zapalek – wszystko to na wypadek wojny, która zdawała się coraz bardziej zagrażać naszemu krajowi. Słyszałam jak ktoś radził, by wybrać z banku oszczędności, bo w razie wybuchu wojny, wszystkie zdeponowane pieniądze przepadną, a ktoś inny twierdził cynicznie, że teraz warto zaciągnąć kredyt, bo w razie wojny nie trzeba będzie niczego spłacać. Słyszac i obserwując wszystko co się wokół działo, choć niewiele z tego rozumiałam, wysnułam jednak konkretny wniosek: Wisi nad nami wielkie niebezpieczeństwo.

Każdy dzień przynosił nowe, niepokojące wieści i wydarzenia. Żołnierze zarekwirowali rowery rodziców na cele wojskowe. Tata otrzymał z urzędu maskę gazową, a do domu przyniósł wzór, według którego należało uszyć prowizoryczne maski dla członków rodziny. Mówiono, że podczas wojny światowej (zakończonych dwadzieścia lat temu) stosowano gaz, więc obawiano się powtórzenia gazowego ataku.

Zaminowany most kolejowy na rzece Obrze, stał się źródłem dodatkowych niepokojów wśród ludzi, zamieszkałych w jego pobliżu. Pocieszałam się, że nasza ulica jest od mostu nieco oddalona. Niestety któregoś dnia pewien pan powiedział w mojej obecności:

- *Gdy dojdzie do wysadzenia tego mostu, wstrząsy będą tak silne, że cała ulica inż. Wigury zamieni się w gruzy.*

Przeraziłam się.

Nadgraniczny Zbąszyń uznawano za miejsce szczególnie zagrożone. Uważano bowiem, że jeśli dojdzie do niemieckiej agresji, jej pierwszy atak padnie na to przygraniczne miasto. Wiele rodzin zaczęło w pośpiechu opuszczać Zbąszyń. Udawano się do krewnych zamieszkałych w głębi kraju lub gdziekolwiek, byle dalej od granicy. Wprawdzie urzędnicy celni zostali w ramach planu mobilizacyjnego podporządkowani rozkazom wojskowym i musieli pozostać na miejscu, ale ich żony i dzieci wyjeżdżały.

Podczas gdy taka atmosfera panowała w Zbąszyniu, 22 sierpnia 1939 roku rano, w domu przy ul. inż. Wigury 14 przyszedł na świat nowy członek naszej rodziny. Po przebudzeniu usłyszałam:

- *Masz siostrzyczkę!*

Rozpłakałam się z radości. Byłam nad wyraz szczęśliwa: mam maleńką siostrę! Wspaniale! Cieszyłam się tak bardzo, że przez chwilę nawet groźba wybuchu wojny odsunęła się w cień.

Z okazji narodzin mojej siostry, pojawiali się u nas przyjaciele i znajomi z gratulacjami i życzeniami Łask Bożych dla noworodka. Było to bardzo miłe, ale prawie każda wizyta kończyła się słowami:

- To do widzenia. Trzymajcie się. Jutro (pojutrze) wyjeżdżamy.

Słyszając to, ogromnie się niepokoiłam. Wiedziałam, że w chwili obecnej podejmowanie podróży przez naszą rodzinę nie wchodzi w rachubę. I bałam się o nasz los.

Tatusz musiał coraz więcej godzin przebywać w urzędzie. Dla domu pozostawało mu niewiele czasu. Szczęściem była z nami Marysia - pomoc domowa, która w oparciu o wskazówki Mamusi, zajmowała się teraz różnymi domowymi sprawami. Chociaż niczego mi nie brakowało, towarzyszył mi nieustanny niepokój. Którejś nocy obudziłam się z krzykiem. Miałam koszmarny sen. Śniło mi się, że olbrzymie samoloty zrzucają na Zbąszyń wielkie, czarne, metalowe zwierzęta: bizony, słonie, nosorożce, które spadając z wysokości, swym ciężarem miażdżą domy i ludzi. Mamusia uspokajała mnie mówiąc, że nie trzeba przejmować się koszmarami sennymi, a żadnej wojny ani bombardowania na pewno nie będzie.

Byłam już na tyle rozumna, że wiedziałam iż są to jedynie słowa pocieszenia. Wszak dzień wcześniej słyszałam rozmowę Rodziców, że w związku z sytuacją zagrożenia, trzeba przyspieszyć termin Chrztu maleńkiej córeczki. I tak się stało. Tatusz udał się na plebanię, pozałatwiał śpiesznie odpowiednie formalności, zamówił taksówkę i pojechaliśmy do kościoła: Chrzestni z dzieckiem w beciku, Tata i ...ja. Pierwszy raz w życiu widziałam Chrzt. Byłam bardzo przejęta.

Ucieczka z zagrożonej ulicy

Napięta atmosfera gęstniała z każdym dniem, a tymczasem - wbrew moim nadziejom i oczekiwaniom - kondycja Mamusi nie ulegała radykalnej poprawie. Wstawała z łóżka, ale była bardzo słaba. Od dłuższego już czasu miała problemy z sercem, a za sobą trudny okres ciąży i poród. Potrzebowała teraz dużo wypoczynku i spokoju, a żyła w ciągłym stresie. Trudno w takich okolicznościach wracać do formy. Czwartego, czy piątego dnia po narodzeniu Zosi, Mamusia siedziała pochylona nad szyciem. Zauważyłam, że przygotowuje coś nietypowego: jakby miniaturowe, płócienne torebki.

- Co to ? - zapytałam zaciekawiona.

- To takie woreczki dla was – dla ciebie, Cześka i Zosi. Do każdego woreczka włożę karteczkę z imieniem, nazwiskiem, datą urodzenia oraz adresem. Na karteczce Zosi dopiszę jeszcze, że jest ochrzczona.

- Ale po co to?

- Przyszyję tasiemki, byście mogli nosić te woreczki na szyi. W wypadku wojny, może dojść do zamieszania. Gdybyście się gdzieś zagubili, informacje w woreczkach mogą być pomocne na szybką identyfikację i przekazanie was rodzicom.

A widząc strach w moich oczach, dodała szybko:

Nie przejmuj się. To tylko tak, na wszelki wypadek. Na pewno takich sytuacji nie będzie.

Nie wiem, czy było w tej sprawie jakieś odgórne zalecenie, czy ludzie sami wpadli na pomysł, by takie „identyfikatory” sporządzać na wypadek, gdyby dzieci zaginęły w zawierusze wojennej. Pamiętam, że ten płócienny, maleńki woreczek, który wkrótce zawisł na mojej szyi i którego nie należało zdejmować nawet nocą, stanowił dla mnie

wielkie psychiczne obciążenie jako symbol zagrożenia: zagubieniem, osieroceniem, kalectwem, a nawet czymś gorszym. Z wielką przykrością patrzyłam, jak moja leżąca w pieluszkach, maleńka siostrzyczka, licząca zaledwie kilka dni, zaopatrzona została w taki sam woreczek.

Przyjechała matka Marysi, by zabrać córkę do domu. Ogarnął mnie smutek, że i Marysia wyjedzie. Była dla mnie kimś ważnym. Mamusia z pewnością zdawała sobie aż nadto sprawę z tego, jak bardzo będzie jej brakowało Marysi, lecz ze względu na zagrożenie Zbąszynia, nie odważyła się zachęcać dziewczyny do pozostania. Przeciwnie – wbrew własnym interesom radziła, by Marysia wracała do matki na wieś. Lubiłam Marysię i choć bardzo nie chciałam się z nią rozstawać, jako dobrze wychowane dziecko, tylko w milczeniu przysłuchiwałam się rozmowie dorosłych. Tymczasem Marysia, ku zaskoczeniu wszystkich, samodzielnie podjęła twardą decyzję, mówiąc:

- Ja pani nie zostawię! Zostaję.

Matka dziewczyny usiłowała przeciwstawić się postanowieniu córki, jednak Marysia trwała przy swojej decyzji. W końcu kobieta wróciła do domu sama, a Marysia pozostała z nami.

Tata, który – jak już wspomniałam - zgodnie z rozkazem mobilizacyjnym przebywał teraz w Urzędzie przez większość doby, nie przestawał myśleć o jakimś zabezpieczeniu swojej rodziny, choćby przez wywiezienie nas z tej – jak mówiono - zagrożonej ulicy. Dogadał się z kolegą z pracy, który zgodził się, byśmy przenieśli się tymczasowo do jego domku na peryferiach miasta. Jego rodzina wyjechała już w głąb kraju, on wiele godzin musi teraz przebywać w urzędzie, więc uznał, że nawet lepiej będzie gdy podczas jego nieobecności dom nie będzie stał pusty.

Mamusia przyjęła ten plan z uznaniem i wdzięcznością. Przystąpiono niezwłocznie do pakowania żywności, pościeli, odzieży i innych, niezbędnych na co dzień rzeczy. Przed dom zajechała zamówiona furmanka. Tata zniósł po schodach wszystkie walizy i toboły, ulokował je na wozie, pomógł nam wsiąść i natychmiast wrócił do urzędu, a my, posadowieni na bagażach, udaliśmy się w bardziej bezpieczny rejon miasta.

Niestety nie było nam dane spędzić w gościnnym domku nawet do następnego rana. W środku nocy obudziło nas głośnie i natarczywe pukanie do okna. Gdy Mama podeszła, ujrzała za szybą majaczącą w ciemności postać, a męski głos, po stwierdzeniu że rozmawia z właściwą osobą, oświadczył:

- Przyjechałem tu z polecenia pani męża. Ma pani natychmiast spakować rzeczy, a ja mam odwieźć was furmanką do Opalenicy, gdyż tutaj także nie jest bezpiecznie. Proszę szybko przygotować się do drogi. Czekam!

Szok! Mama karmi maleńką Zosię, Marysia budzi zaspanego Cześka i pomaga mu się ubrać. Wszystko co przywiezione zostało z naszego mieszkania, pakowane jest w szaleńczym pośpiechu. Wychodzimy. Mama zamyka drzwi domu i kładzie klucz w umówione z właścicielem miejsce. Za chwilę siedzimy już na tobołkach, ulokowanych na chłopskim wozie.

Jedziemy. Początkowo jest zupełnie ciemno, a potem, w nieśmiałej poświacie budzi się poranek i wstaje dzień - chłodny i pochmurny. Jest mgliście, siąpi mżawka. Mokniemy – my i nasze bagaże. Koń człapie mokrą szosą, która zdaje się nie mieć

końca. Po długiej jeździe docieramy do Opalenicy. Woźnica zatrzymuje konia przed dworcem kolejowym, wnosi nasze walizki i toboły do zięjącej chłodem, zupełnie pustej poczekalni dworcowej i odjeżdża.

Jesteśmy zmęczeni i zziębnięci. Marysia kładzie Zosię w beciku na dużym, gładkim stole. [Ilekcroć spotykałam później takie typowe dla mniejszych poczekalni kolejowych stoły, zawsze przypominał mi się tamten moment.] Mamusia jest do tego stopnia wyczerpana trudami minionych godzin, że siada na ławie, opierając głowę o blat tego stołu. Jest prawie nieprzytomna. Siadamy obok w milczeniu. Nawet czteroletni Czesiek, który zawsze ma wiele pytań, wylękniony dziwną sytuacją, nie odzywa się wcale. Czas płynie. W poczekalni oprócz nas nie ma nikogo. Zimno, pusto i cicho. Tylko maleńka Zosia popłakuje chwilami. Marysia ucisza ją, jak może. Bierze becik na ręce, kołysze. Jestem jej bardzo wdzięczna za to, że jest teraz z nami, a jednocześnie ogromnie zatroskana, bo w głowie kłębią się myśli: *Co my tu robimy? Co z nami teraz będzie?*

W pewnej chwili otwierają się drzwi poczekalni i staje w nich wysoki, przystojny pan w średnim wieku. Energicznym krokiem podchodzi do nas i pochylając się nad Mamą, wymienia pytającym tonem nasze nazwisko. Ale Mama nie reaguje. Dopiero gdy mężczyzna dotykając lekko jej ramienia, powtarza nazwisko, Mamusia wolno podnosi głowę i jak obudzona ze snu, mówi bardzo cichutko:

- *Tak, to ja.*

- *Jestem z PCK – oświadczam nieznajomy – Mąż pani dzwonił ze Zbąszynia, prosząc abyśmy się wami zaopiekowali. Mam samochód. Zabiorę was stąd.*

Do mojego skołatanego serduszka napływa promyk otuchy:

- *Kochany Tatus! Nie może być z nami, ale nawet na odległość nie przestaje troszczyć się o nas.*

Mama usiłuje wstać, ale słania się i opada z powrotem na ławę. Pan bierze ją na ręce i przenosi jak dziecko do samochodu. Potem kolej na nasze bagaże. Marysia niesie becik z Zosią, ja i Czesiek podążamy za nią. Mężczyzna zawozi nas do śródmieścia, gdzie w jednej z kamienic znajduje się jego prywatne mieszkanie. Pomaga Mamusi wysiąść z samochodu i prowadzi po schodach na pierwsze piętro. Idziemy za nim. Kiedy przekraczamy próg mieszkania, mówi do Mamusi:

- *Nie ma tu nikogo. Moja rodzina już wyjechała. Mieszkanie jest do pani dyspozycji. Możecie pozostać tu, jak długo chcecie. Ja śpieszę do dalszych obowiązków. Na razie do widzenia!*

W ciągu jednej doby – to już drugie, obce mieszkanie. Szczęściem stan Mamusi na tyle się poprawił, że zajmuje się Zosią i z pomocą Marysi przygotowuje dla nas jakiś posiłek, po czym przystępuje do przepierki pieluszek.

Jest wieczór – 31. sierpnia 1939.

Kładziemy się do łóżek. Za oknami ulica dudni marszowym krokiem i łomotem jadących po bruku wojskowych pojazdów. Słyszając to, myślę sobie: *To nasi żołnierze. Podążają pewnie w kierunku Zbąszynia. Będą strzec granicy, by wróg nie wtargnął do naszego kraju. Nie będzie wojny i szybko wrócimy do naszego mieszkania. Zasypiam z nadzieją.*

O świcie budzi mnie szmer otwieranych drzwi. Do sypialni wchodzi gospodarz mieszkania i zwraca się do Mamusi:

- *Przepraszam. Zbudziłem panią?*

- *Nie, nie spałam.*

- *Proszę podać mi ten krzyżyk, który wisi nad łózkami.*

Mama spełnia życzenie gospodarza, a on całuje krzyżyk i chowa go na piersi, do wewnętrznej kieszeni marynarki, mówiąc:

- *Idę zgłosić się na ochotnika do wojska. Gdy będzie pani stąd odchodzić, klucz proszę przekazać sąsiadce z przeciwka. Zostańcie z Bogiem!*

Ewakuacja

Jest 1 września 1939 roku. Jemy śniadanie, gdy niespodziewanie pojawia się Tatuś. Jakże się cieszę! Ale moja radość szybko znika gdyż okazuje się, że Tata jest tu tylko przejazdem. Zgodnie z rozkazem, następuje ewakuacja urzędu celnego ze Zbąszynia na wschód. Odbywa się to pociągiem towarowym. Ponieważ zaistniała możliwość, by do tego pociągu zabrać także swoje rodziny, część celników jedzie z rodzinami. Czas postoju pociągu w Opalenicy jest ograniczony. Trzeba więc szybko podjąć decyzję: Czy Mama pozostanie z nami w Opalenicy, czy też pojedziemy całą rodziną tym pociągiem? Następuje krótka, gorączkowa narada Rodziców i słyszę: *Jedziemy!*

Marysia musi zdecydować sama: Czy z Opalenicy wróci do rodzinnej wsi, czy pojedzie z nami. Dziewczyna wybiera drugą opcję.

I znów kolejne, pośpieszne pakowanie. Mamusia zbiera ze sznurka niedosuszone pieluszki. Tata biegnie zamówić taksówkę, po czym znosi z piętra walizki i toboły. W gościnnym mieszkaniu nie spędziliśmy nawet jednej doby! Zgodnie z życzeniem właściciela, Mama przekazuje klucz sąsiadce.

Taksówka odwozi nas na znaną nam już stację kolejową, gdzie stoi gotowy do odjazdu ów pociąg ewakuacyjny - długi skład tak zwanych „węglarek” - wagonów bez dachów, do przewozu węgla. Tata wsadza nas do jednego z nich. Zajmujemy wolny kąt. W pozostałych trzech kątach wagonu, ulokowały się już trzy inne rodziny ze Zbąszynia. Namiastkę prywatności dają prześcieradła i koce, rozwieszane na sznurkach. My także korzystamy z tego wzorca. Oprócz walizek i tobołków mamy materac z jednego z naszych łóżek (składany z trzech części). Nie wiem, jak się tu znalazł. Pewnie przezorny Tatuś na wszelki wypadek załadował go w Zbąszyniu do pociągu. Marysia kładzie na nim becik z Zosią, Mama siada obok. Od współpasażerów wagonu słyszymy nazwiska rodzin, które jadą w sąsiednich wagonach. Jest wśród nich naczelnik Urzędu Celnego w Zbąszyniu z żoną i synami, z których starszy ma dziewięć, a młodszy sześć lat. Jadą też rodziny kolejarzy i nie wiem, kto jeszcze.

Gdy pociąg rusza, myślę sobie: *Jesteśmy wśród swoich, wkrótce znajdziemy się w bezpiecznym miejscu. Będzie dobrze.*

Nie ujechaliliśmy daleko, kiedy pociąg zatrzymał się w szczerym polu, a z parowozu rozległy się dziwne dla mnie dźwięki. Okazało się, że są to sygnały alarmowe, ponieważ na horyzoncie pojawiły się niemieckie samoloty. Ze wszystkich stron rozległy się wołania i rozpaczliwe krzyki:

- *Nalot! Nalot!*

- *Będą bombardować linię kolejową!*

- *Trzeba uciekać z pociągu!*

Ktoś przesuwają ciężkie drzwi. Wagon, nie przystosowany do przewozu osób, nie posiada stopni, co ogromnie utrudnia wysiadanie. W dodatku pociąg stoi na nasypie, co stanowi dodatkową komplikację. Ludzie, trzymając się metalowych elementów wagonu, zsuwają się w dół lub po prostu wyskakują z wagonów i w popłochu pędzą przez pole przed siebie, byle dalej od pociągu i torów kolejowych. Panuje ogromne zamieszanie. Samoloty są coraz bliżej. Tata wysadza z wagonu Cześka i mnie, potem pomaga wydostać się na ziemię Mamusi. Marysia jest już na dole. Rozpoczynamy bieg, gdy słyszę rozdzierający krzyk Mamy:

- Gdzie Zosia!? - Boże! Dziecko zostało w wagonie!!!

Rzeczywiście. W całym zamieszaniu i tumulcie, Tata myślał, że becik z dzieckiem wzięła Marysia, a Marysia liczyła na to, że zrobił to Tata. Okropna pomyłka! Stajemy jak wryci. Tatusz wraca pędem do pociągu i po chwili z białym becikiem w ramionach biegnie w naszym kierunku, podczas gdy rozlegają się już detonacje bomb, spadających w pobliżu. W ciągu tych minut, nasi współpasażerowie zdążyli już znacznie się oddalić. Biegniemy w ślad za nimi. Kiedy zmęczeni pośpiechem docieramy do miejsca w którym się zatrzymali, bombowce oddalają się, a z parowozu rozlega się sygnał gotowości do odjazdu. Wszyscy pędzą teraz w kierunku pociągu. Nam idzie to z trudem: po dotarciu do grupy, nie mieliśmy nawet chwili wytchnienia. Mama wyczerpana jest do granic możliwości, my - dwoje dzieci (7 i 4 lata), Tata z niemowlęciem na rękach - wszystko to razem opóźnia bieg. Gdy do pokonania pozostało nam już tylko około dwudziestu metrów, pociąg rusza! Widocznie maszynista nas nie zauważył, albo... bardzo śpieszył, by opuścić to miejsce. Oślepiała patrzeć na nabierające pędu wagony. Przesuwają się coraz szybciej i „nasz” pociąg z łoskotem metalowych kół, znika w oddali.

Ojciec rozgląda się. Dookoła puste pole. Na horyzoncie ciągnie się szpaler drzew, znaczący linię szosy. Tata, wskazując te drzewa, mówi:

- Musimy tam dojechać. To szosa do Poznania. Jest nadzieja, że zabierze nas jakiś samochód i dogonimy ten pociąg. Nie mamy chwili do stracenia!

Ruszamy natychmiast, a zdeterminowani, staramy się iść jak najszybciej przez rozległe pola do szosy, po której - co widać już coraz wyraźniej - maszerują wojskowe kolumny piechoty, jadą samochody i inny sprzęt wojskowy. Zatrzymujemy się na skraju szosy, a Tata usiłuje zatrzymać którąś z ciężarówek, jadących w kierunku Poznania. Na próżno. Żaden pojazd nie zatrzymuje się. Wojna stała się faktem. Kierowcy podporządkowani są rozkazom zwierzchnictwa i żadne próby zatrzymania kolejnych samochodów nie przynoszą skutku. Żołnierze maszerujący w zwartych kolumnach, także nie zwracają na nas uwagi. Są skupieni na sobie i tym, co ich czeka.

Mama jest załamana. Siedzi na przydrożnym kamieniu i płacze. Na jej kolanach leży becik z kwilącym niemowlęciem, obok stoimy ja i Czesiek oraz bezradna Marysia. Nie przychodzi mi nawet do głowy, że Ojciec oddalił się od grupy, z którą zgodnie z ogólnym rozkazem, zobowiązany był jechać na wschód. W tej chwili kwestia ta nawet do mnie nie dociera. Jestem zrozpaczona tym, co dzieje się tu i teraz:

- Pociąg, który miał zawieźć nas w bezpieczne miejsce, odjechał, uwożąc nasze mizerne, ale niezbędne w tej chwili bagaże. Nie mamy szans ani na jego dogonienie ani na powrót do Zbąszynia. Jest wojna, wszędzie zamęt i strach, a my nie mamy nic - żadnego jedzenia ani nawet pieluszek dla Zosi. Jesteśmy osamotnieni, bez żadnego

wsparcia. Co się z nami stanie?

Ale oto mijają nas kolejny oddział piechoty, dowodzony przez oficera, który – wyjątkowo, jak nikt inny – spogląda na nas z zainteresowaniem. Zatrzymuje swoich żołnierzy, podchodzi i pyta, dlaczego znaleźliśmy się w tym dziwnym miejscu. Tata wyjaśnia sytuację i prosi o pomoc w szybkim dotarciu do Poznania. Oficer patrzy na nas z współczuciem. Jest poruszony naszym położeniem i mówi do swoich podkomendnych, którzy zdążyli już otoczyć nas kołem:

- Popatrzcie chłopcy, na co wróg skazuje polskie dzieci! Nie zapomnimy tego.

Po tych słowach wbiega na środek szosy i zatrzymuje pierwszą z nadjeżdżających wojskowych ciężarówek. Rozmawia krótko z kierowcą i za moment żołnierskie ręce wsadzają nas pod plandekę wozu. Jedziemy w kierunku Poznania! Oby tylko zdążyć! Dworzec kolejowy. Na stacji stoi kilka pociągów towarowych. Tataś obiega je wzrokiem. Dostrzega ten „nasz”! Za chwilę jesteśmy w wagonie. Zdążyliśmy! Współpasażerowie są bardzo zaskoczeni:

- Nieprawdopodobne, że się wam udało!

Lokujemy się na tobołkach w naszym kącie. Wyczerpana Mama pada bezwładnie na materac. Ale mam mocną nadzieję, że gdy nieco odpocznie, jej stan się poprawi. Najważniejsze, że dzięki empatii sympatycznego oficera dopadliśmy nasz pociąg, który zawiezie nas w bezpieczne miejsce. Kiedy pełna dobrych myśli i nadziei, czekam z niecierpliwością na odjazd pociągu, powietrze przeszywa ponure wycie syren, a z dworcowych megafonów rozlega się głośny komunikat:

- Nalot! Do schronu! Do schronu! Nalot!

Ludzie wyskakują na perony i wśród nawoływań pędzą w popłochu do schronów, przygotowanych na terenie dworca. Mama nie ma siły, by uciekać. Tata woła, by ktoś pomógł mu wysadzić żonę z wagonu, ale nikt nie reaguje. W tak niebezpiecznym momencie trudno o empatię. Każdy myśli o własnym ocaleniu. Nasz wagon pustoszeje. Pozostaliśmy sami. Mama na próżno prosi Tatę, by udał się z dziećmi i Marysią do schronu. Ojciec nie chce zostawić Mamusi samej w wagonie, ale prosi Marysię, by biegła do schronu ze mną i Cześkiem. Jednak dziewczyna nie decyduje się na to. I tak zostajemy całą rodziną razem z Marysią w „węglarce” pod gołym niebem, na poznańskim dworcu kolejowym. Rozpoczyna się nalot. Pierwszy nalot na Poznań, podczas którego zaatakowany zostaje także dworzec PKP. Rozpętuje się piekło: wycie syren miesza się z hukami spadających bomb i jazgotem dział artylerii przeciwlotniczej. Trzask, płomień, dym. Wagon podskakuje od wstrząsów. Mamusia, leżąc na materacu obok maleńkiej Zosi, przygarnia mnie i brata jak najbliżej siebie. Modlimy się głośno, prosząc Boga o ocalenie.

Jak długo to trwało? - Trudno określić, kiedy każda minuta wydaje się bardzo długa. Po dokonaniu niszczycielskiego dzieła, samoloty odlatują. Ludzie wychodzą ze schronu i wracają do poszczególnych wagonów. Wracają też nasi towarzysze podróży i słyszę czyjś wyraźnie zaskoczony głos:

- Żyjecie?!

W wagonie leżą większe i mniejsze odłamki bomb. To był cud, że nikt z nas nie doznał nawet draśnięcia. Nie da się wyrazić słowami jaką ulgę poczułam, gdy nasz pociąg opuszczał poznański dworzec. Powróciła nadzieja.

Wiedzieliśmy, że jedziemy na wschód, w bezpieczne miejsce. Dokąd? - myślę,

że tego dokładnie nie wiedział w tym momencie chyba nikt. Każdy spodziewał się jednak, że wkrótce dotrzemy do celu. Tymczasem pociąg nasz włókł się doba za dobą i – czego nikt nie przewidywał – narażony był wciąż na niemieckie ataki bombowe. Wkrótce znałam już ten złowróżbny pomruk zbliżających się samolotów i sygnał parowozu, ogłaszający nalot. Pociąg stawał i ludzie czym prędzej opuszczali wagony, by ukryć się w terenie. Nie zawsze był to teren leśny. Pamiętam, jak podczas któregoś z nalotów usiłowałam wcisnąć się pod jakieś rachityczne krzaczki, a innym razem – by na otwartym terenie być jak najmniej widoczna - leżąc na polu pomiędzy rzędami ziemniaków, przyciskałam buzię bezpośrednio do ziemi. Słyszałam bowiem, że z broni pokładowej strzelają nawet do pojedynczych ludzi. Bałam się bardzo o siebie i najbliższych. Nie tyle bałam się zginąć, co kalectwa lub osierocenia.

Chociaż wolno, ale posuwaliśmy się coraz dalej na wschód. Chyba czuwała nad nami Opatrzność, gdyż wrzesień 1939 był stosunkowo ciepły i wyjątkowo pogodny. Podczas tej naszej podróży ani razu nie padał deszcz. Nie wyobrażam sobie co by się działo w razie deszczu. Wagon był bez dachu, a o folii nikt wtedy nie słyszał. Nie mielibyśmy żadnej osłony. Mimo dobrej pogody, wrześniowe noce były chłodne. Dlatego nocą byliśmy kompletnie ubrani – w płaszczykach, szalach, czapkach, bucikach. Zresztą nie tylko z powodu chłodu. Musieliśmy w każdej chwili być przygotowani na pośpieszne opuszczenie pociągu, w razie bombardowania linii kolejowych i pociągów.

Nasze zapasy żywnościowe zabrane ze Zbąszynia kurczyły się niepokojąco, a pociąg zatrzymywał się przeważnie z dala od siedzib ludzkich, co uniemożliwiało nie tylko uzupełnienie prowiantu, ale nawet wody. Nie orientowaliśmy się zupełnie, kiedy nastąpi kolejny postój pociągu i jak długo będzie trwał. Jakąś łącznością dysponował jedynie maszynista, ale zapewne i on nie wiedział, kiedy otrzyma zezwolenie na kontynuację jazdy. Gdy podczas postoju zauważono jakąś niezbyt odległą wioskę - choć oddalenie się od pociągu obarczone było dużym ryzykiem, ponieważ można było nie zdążyć wrócić przed odjazdem – niektórzy podejmowali to ryzyko i biegli, by kupić coś do jedzenia.

Coraz częściej postoje wymuszane były naprawą torów, uszkodzonych przez niemieckie samoloty, często pociąg nasz musiał udzielać pierwszeństwa transportom wojskowym. Wiąże się z tym pewien wyjątkowy przypadek, kiedy nasz pociąg, stojąc na bocznym torze, przepuszczał wojskowy transport, wiozący zaopatrzenie na front. Pociąg wojskowy mijał nas w bardzo wolnym tempie. Ktoś z naszych zawołał do żołnierzy:

- *Macie chleb?*

W odpowiedzi żołnierze rzucali w naszym kierunku bochenki chleba, które dzięki zręczności jadących zostały pochwycone. Było to wielkie wsparcie.

Po dwunastu dobach tej okropnej podróży, wszyscy jej uczestnicy byli nad wyraz zmęczeni – fizycznie i psychicznie. Wśród kobiet pojawiały się głosy zwątpienia:

- *Jak długo jeszcze będziemy tak jechać?*

- *Dokąd nas wiozą?*

- *Czy chcą wysadzić nas gdzieś na „Pińskich Błotach”? - Przecież to bez sensu!*

Nie wiem co było tego powodem i dlaczego tak się stało, ale tamtego dnia - ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu - pociąg nasz zatrzymał się nie z powodu

zbliżających się niemieckich samolotów, ani – jak zwykle – w polu czy w lesie, lecz na małej, sympatycznej stacyjce, co stwierdziłam stojąc na stercie walizek z buzią ponad burtą wagonu. Tatuś stawiał mnie tam czasem, abym mogła choć przez chwilę pooglądać świat – bo wagon towarowy okien nie posiada.

Ta otoczona lasem stacyjka z małym, stylowym budynkiem dworcowym ozdobionym kwitnącymi pelargoniami, złocona blaskiem promieni słonecznych, wydawała mi się jak z bajki: czarująca, emanująca spokojem i ciszą, jakby wojny wcale nie było. Jej widok wzbudził we mnie odprężenie i poczucie bezpieczeństwa.

Na peronie zebrała się grupa celników wraz z naczelnikiem. Był tam także mój Tatuś. Mężczyźni żywo nad czymś dyskutowali, po czym rozchodząc się w kierunku „swoich” wagonów, wołali:

- *Wysiadamy!*

Łaskarzew

Hałdy bagaży należące do rodzin celniczych, znalazły się na peronie Łaskarzewa – bo taką nazwę nosiło miasteczko, do którego dotarliśmy. Za chwilę pociąg odjechał w kierunku wschodnim, a my zostaliśmy na małym peronie. Byłam oszołomiona panującą tu ciszą, gdyż po towarzyszącym mi dni i nocie stukocie kół pociągu, powtarzającymi się, parowozowymi sygnałami alarmów, groźnym pomruku nadlatujących raz po raz niemieckich samolotów i huku bombardowań, cisza tej stacyjki wydawała się wprost nierealna.

Delegacja celników udała się na rozmowę z władzami miasta. Po niedługim czasie na stację zajechały chłopskie wozy, by przewieźć nas w odpowiednie miejsce. Droga wiodła przez las, wśród którego w pewnym miejscu minęliśmy piękną, dużych rozmiarów figurę Matki Bożej. Wozy dowiozły nas na obszerny, ogrodzony i opatrzone szeroką bramą teren letniska, na którym stało w szeregu kilka sympatycznych, ozdobionych zadaszonymi tarasami i balkonami, identycznych, dwukondygnacyjnych, drewnianych willi. W związku z wojenną sytuacją, domy te nie były teraz wykorzystane przez letników (wczasowiczów), więc udostępniono je, między innymi także nam, na tymczasowy pobyt. Nasza rodzina i inni znajomi zakwaterowani zostali w pierwszym, oddalonym zaledwie kilkadziesiąt metrów od bramy, budynku. Nie interesowało mnie, kto zamieszkał w kolejnych willach ani to, czy były one w pełni wykorzystane.

Wyposażenie wewnątrz okazało się nad wyraz skromne, ale po prawie dwóch tygodniach spędzonych w "węglarce", wszystko wydawało się wspaniałe. Rodzice udali się do miasteczka by zrobić niezbędne zakupy, a ja cieszyłam się, że wreszcie skończyła się nasza pełna zagrożeń podróż i znaleźliśmy się w spokojnej, bezpiecznej przystani.

Moje względnie dobre samopoczucie spadło jednak do zera, kiedy następnego dnia rano stwierdziłam, że nie ma z nami Taty. Usłyszałam, że celnicy podlegający dyspozycji wojskowej otrzymali rozkaz, by udać się za Bug. Opuścili letnisko nocą, gdy spałam. Było mi żal, że nie było mi dane pożegnać się z Tatusiem. Nie przyszło mi do głowy, że Rodzice nie budząc nas, chcieli nam oszczędzić przykrości rozstania. Z rodzin celniczych pozostały na miejscu tylko kobiety, dzieci i dwóch panów, których – ze względu na wiek- nie obowiązywały już rozkazy wojskowe.

Wkrótce miało się okazać, że ta w moim mniemaniu „bezpieczna przystań”, wcale

takową nie jest. Frontowe wieści budziły wielki niepokój. Niemcy zbliżali się. Wszyscy mówili teraz tylko o tym, w jakiej odległości od nas jest linia frontu, a ta była coraz bliżej. Dwaj pozostali z nami panowie, którzy dobrze pamiętali pierwszą wojnę światową, stwierdzili, że te lekkiej konstrukcji drewniane ściany domów, choć ładne, w razie ostrzału nie dadzą nam ochrony nawet przed nabojami karabinowymi, a co dopiero przed pociskami większego kalibru. Poza tym - domy nie posiadały piwnic, w których moglibyśmy ewentualnie się schronić. Ze strony obu panów padła więc propozycja:

- *Musimy jak najszybciej wykopać rów, który w razie zagrożenia da nam lepszą ochronę niż cienkie ściany domu.*

Wykonali projekt okopu, wyznaczyli miejsce pomiędzy młodymi sosenkami i przystąpili do pracy, wzywając do pomocy wszystkich mogących utrzymać łopaty. Inicjatywa spotkała się z dużym zrozumieniem. Zdobyto narzędzia, pracowano pośpiesznie i ofiarnie. Rów, wykonany według dawnej sztuki wojennej, był wkrótce gotowy.

W niewielkiej odległości od ogrodzonego terenu letniska, stał w lesie mały, murowany kościółek. W pewnej chwili lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość, że przyjedzie ksiądz, by o wyznaczonej godzinie odprawić tam Mszę Świętą. Kto mógł, pośpieszył do kościoła.

Nieduże wnętrze kościółka całkowicie wypełniło się ludźmi. Byłam wśród zebranych. Z powodu tłoku, stałam obok innych dzieci tuż przy stopniach ołtarza. Jakże przejmująco brzmiały wtedy słowa Suplikacji:

„...Od powietrza, głodu, ognia i wojny wybaw nas Panie!

Od nagłej i niespodzianej śmierci zachowaj nas Panie!”

Pieśni towarzyszył szloch kobiet. Śpiewałam razem z innymi, wkładając w słowa całe rozdygotane serce, bo nasze życie było od wielu dni autentycznie zagrożone, a i w tym momencie ziemia drżała od bombardowań i ostrzałów artyleryjskich. Front zbliżał się do Łaskarzewa. W dodatku – byliśmy pełni niepokoju o naszych bliskich, którzy musieli nas opuścić.

Następnego dnia odwiedziły nas niespodziewanie dwie panie (chyba właścicielki drogerii), z którymi Mamusia nawiązała kontakt podczas zakupów. Przyniosły jakieś drobiazgi dla maleńkiej Zosi, porozmawiały z Mamusią. Były bardzo sympatyczne. Kiedy wychodziły, padł pomysł, abym udała się z nimi do miasta po jakąś drobną, ale bardzo potrzebną rzecz do pielęgnacji niemowląt.

Po nabyciu tego drobiazgu, obie panie odprowadzały mnie w kierunku letniska. Rozmawiając, szłyśmy pustą, leśną drogą, kiedy w pewnej chwili jedna z pań stała się niespokojna. Przystawała, wsłuchiwała się w szmery lasu i rozglądała z obawą dookoła. W pewnym momencie powiedziała do mnie:

- *Odeszłyśmy tak daleko od domu. Czeka nas długa droga powrotna. Ty masz już blisko. Pójdiesz dalej sama? Chyba się nie boisz?*

Cóż miałam powiedzieć? - Bałam się, ale świadoma tego, że rzeczywiście do bramy letniska jest już niedaleko, a przed moimi towarzyszkami pozostała długa droga, odpowiedziałam:

- *Dobrze, pójdę dalej sama.*

Po pożegnaniu ruszyłam dziarsko przed siebie, by jak najszybciej dotrzeć do swoich. Po chwili w głębi lasu rozległy się pojedyncze strzały. Złęłam się bardzo. Zaczęłam biec. Kiedy zdyszana dopadałam bramy, strzelano już bez przerwy. Popędziłam do domu. Przypomniały mi się słowa starszych panów, że w razie niebezpieczeństwa, lokatorzy z piętra powinni zejść na parter. Nie próbując więc nawet wchodzić na piętro gdzie był nasz pokój, obiegałam wszystkie pomieszczenia parteru. Nie spotkałam nikogo.

- *Pewnie wszyscy uciekli do rowu!* - przemknęło mi przez myśl. Przez taras, ile sił w nogach, pobiegłam po piaszczystym gruncie w kierunku okopu. Strzelano już z niedużej odległości, bo słyszałam wyraźnie świst przelatujących obok mnie pocisków i widziałam jak padały z lewa i prawa, drążąc wirującym ruchem lejkowate dołki w sypkim piachu. Czy strzelano właśnie do mnie? - trudno powiedzieć. Strzelano zapewne do wszystkiego, co się ruszało. Czy zdawałam sobie sprawę z niebezpieczeństwa w jakim się znalazłam? - Oczywiście. Dlatego w głowie miałam tylko jedną myśl: Jak najszybciej dopaść rowu! Dobiegłam, ale ...okazało się, że rów był całkowicie wypełniony ludźmi. Schronili się w nim nie tylko nasi, ale i inni, którzy przypadkiem znaleźli się w pobliżu. Przycupnęłam więc skulona na wejściowej pochyłości, w miejscu, które właściwie nie dawało już ochrony. Ktoś ze znajomych zauważył mnie, bo z głębi rowu odezwał się dobrze słyszalny szept:

- *Przepuście to dziecko! Tam dalej jest jej mama.*

Ludzie umożliwili mi przecisnięcie się w dalszy odcinek rowu i znalazłam się obok Mamusi, rodzeństwa i Marysi. Odetchnęłam z ulgą.

Od tego dnia przez trzy doby nie zdejmowaliśmy wierzchniej odzieży i obuwia. Nie kładliśmy się do łóżek. Ostrzał to przycichał, to się wzmagał. W każdej chwili gdy kanonada przybierała na sile, musieliśmy być gotowi do ucieczki z domu. Naszym jedynym miejscem schronienia stał się teraz rów. Podczas gdy mieszkańcy domu opuszczali swoje pokoje i w pośpiechu biegli do okopu, mój czteroletni brat Czesiek, który miał do tego miejsca absolutne zaufanie, wołał na cały głos na klatce schodowej:

- *Do rowu! Do rowu!*

Ja nie podzielałam w pełni zaufania do tego rowu, ale dobrze, że przynajmniej mój brat czuł się tam całkowicie bezpieczny.

Podczas spokojniejszych godzin, gdy ataki nieco cichły, opuszczaliśmy rów i przechodziliśmy do pomieszczeń na parterze domu. Siadaliśmy gdzie się dało, przeważnie na podłodze, panie pośpiesznie zaparzały rozgrzewającą herbatę i każdy posilał się tym, co miał przy sobie. Nie zapominaliśmy też o wspólnej modlitwie. Gdy działania frontowe nabierały ponownie na sile, uciekaliśmy do naszej kryjówki.

Naszą rodzinę, a szczególnie Mamusię martwiło najbardziej to, że w takich okolicznościach niemożliwością było zapewnienie maleńkiej Zosi nawet minimum warunków tak żywieniowych jak i higienicznych. Podczas ukrywania się w rowie, nie można było nawet dziecku zmienić pieluszki. Zapewne z powodu silnego stresu, Mama nagle posiwała. Traciła też pokarm i nie starczało go już na wykarmienie dziecka, a możliwości kupna mleka całkowicie się urwały. Nic więc dziwnego, że moja maleńka siostrzyczka często płakała. Niektórzy bali się, że płacz dziecka może zdradzić miejsce naszego rowu i wróg skieruje na nas ogień. Padały nawet ostre słowa:

- *Niech pani uspokoi to dziecko!*

Łatwo powiedzieć.

Niemcy

Ponieważ od trzech dni można było spodziewać się szczególnie groźnych sytuacji, miejsca na początku i końcu rowu zajmowali nasi dwaj panowie, stanowiąc rodzaj flanki. Tak było i w ten pamiętny, niedzielny ranek, kiedy łomot frontowy nagle ucichł. Wśród ukrytych w rowie pojawiła się iskierka nadziei. Zastanawiano się:

- *Może jednak udało się odeprzeć wroga? Może wyjść z okopu i rozprostować kości?*

Te i inne wypowiedziane szeptem uwagi, przerwane zostały nową okolicznością: Usłyszeliśmy tłumione przez piach, ale wyraźne odgłosy licznych kroków, które zbliżały się w stronę naszego ukrycia. Działo się to w całkowitym milczeniu. Nie padały żadne komendy, żadne słowa. Ktoś szepnął:

- *Nasi to, czy może...Niemcy?* ★

W rowie zapanowała pełna napięcia cisza. Odgłos kroków stawał się coraz bliższy i ... ucichł. Kiedy podniosłam wzrok, ujrzałam stojących nad rowem kilku żołnierzy w obcych mundurach, z bronią wycelowaną w naszym kierunku lub granatami w uniesionych dłoniach. Jednocześnie padły donośne słowa komendy, których nie rozumiałam:

- *Alles niederbrennen und niederschiessen!*

Zrozumieli to jednak ci, którzy jako mieszkańcy Wielkopolski i Pomorza podczas zaborów musieli uczęszczać do niemieckich szkół. A komenda ta brzmiała: "Wszystko wypalić i wystrzelać!"

Zrozumiała te słowa także Mamusia i – jak wspominała później - pomyślała, że to koniec. Polecając duszę Bogu, przygarnęła ramionami całą naszą trójkę.

Lecz zanim dłonie żołnierzy poruszyły spust broni, zanim z ich rąk poleciały na nas granaty (a chodzi o ułamki sekund), mężczyzna znajdujący się na początku okopu, podniósł się błyskawicznie z uniesionymi do góry rękami i zawołał głośno po niemiecku:

- *Halt! Nicht schiessen! Hier sind nur Frauen und Kinder!* (Stać! Nie strzelać! Są tu tylko kobiety i dzieci!)

Język niemiecki tu, po prawej stronie Wisły i odważna postawa tego człowieka sprawiły, że żołnierze znieruchomieli na moment a dowodzący grupą zapytał:

- *Zivilvolk?* (Ludność cywilna?), a usłyszawszy ponowne zapewnienie, że są tu tylko kobiety i dzieci, wydał rozkaz:

- *Hände hoch! Alles raus!*

Ci, którzy zrozumieli te słowa, wstają, unosząc ręce i powtarzają innym:

- *Ręce do góry! Wychodź!*

Sznur wylęknionych i zmęczonych ciężkimi przeżyciami kobiet i dzieci wychodzi z rowu z podniesionymi rękami. Tylko Mamusia, niosąca w beciku swoje najmłodsze dziecko, nie może unieść rąk. Za to ja wyciągam ręce jak najwyżej, patrząc z lękiem na tych, którzy z bronią gotową do strzału, bacznie nas obserwują i wykrzykują coś w naszą stronę. Mama zapamiętała słowa jednego z nich, który wrzeszczał:

- *Ihr Schweine! Wir haben euch genug! Weiber haben auf uns geschossen!* (Wy świnie!

Mamy was dość! Baby do nas strzelały!)

Rozkazano nam wejść do willi, szczelnie zamknąć wszystkie okna i drzwi i czekać. Na co? - nie wiemy. Zatrzymujemy się wszyscy w dwóch izbach parteru. Stoimy obok siebie w posepnym milczeniu, ogarnięci bolesnym smutkiem z powodu utraconej wolności.

Po jakimś czasie pojawia się przed domem wojskowa ciężarówka. Ci, którzy stoją blisko okien, widzą że żołnierze wyładowują z samochodu ciężkie kanistry. Ktoś mówi wystraszonym głosem:

- *Przywieźli benzynę. Czy chcą oblać dom i spalić nas żywcem?!*

Ludzi ogarnia przerażenie. Nasi zdeterminowani mężczyźni, nie czekając na rozwój wypadków, wbrew rozkazowi pozostania w budynku, wychodzą na zewnątrz i pytają żołnierzy, co się dzieje. Niemcy oświadczają, że przywieźli benzynę na wzniesienie ognia, ponieważ jest rozkaz, by spalić wszystkie budynki w mieście.

Do naszych mężczyzn dołączają kobiety znające język niemiecki i proszą, by żołnierze odstąpili od palenia domów, ale na te prośby jest tylko jedna odpowiedź: Rozkaz musi być wykonany! Po dalszych usilnych pertraktacjach, panie uzyskują jedynie pozwolenie na wyniesienie z domu odzieży, pościeli i żywności, umieszczenie tego wszystkiego w rowie i zasypianie piachem. Może uda się ocalić chociaż te rzeczy.

Po uzyskaniu zgody, panie biegną do swoich izb, gorączkowo wypełniają walizki, zwijają pościel i wynoszą to wszystko do rowu.

Niemcy stoją obok kanistrów i obserwują całą akcję. Gdy kobiety zasypują piachem swoje bagaże, żołnierze mówią, że musimy teraz odejść stąd jak najdalej, bo gdy palić się będą nasze domy, najprawdopodobniej ogień przejdzie na las i wtedy na ucieczkę będzie za późno. Podusimy się dymem.

Każdy zdaje sobie sprawę z tego, że oblane benzyną drewniane wille, płonąć będą jak pochodnie, a prawdopodobieństwo przerzucenia się ognia na las, jest bardzo duże. Ale dokąd i którędy uciekać, skoro ze wszystkich stron słychać odgłosy strzałów?
- *Podczas ucieczki możemy trafić prosto pod kule.* - mówią zmartwione panie.

Przed dom zajeżdża samochodem niemiecki oficer. Ludzie przedstawiają mu sytuację, prosząc najpierw o zaniechanie palenia domów, a gdy prośba zostaje odrzucona, pytają, którędy i dokąd mamy uciekać, by ocalić życie. Rozmowy przeciągają się. Wreszcie oficer wyznacza żołnierza, który ma wyprowadzić nas bezpiecznie w odpowiednie miejsce.

Idziemy przez las, potem na przełaj przez jakieś kartofliska, rzyska, nieużytki i bagna. Mamusia ciągnie czteroletniego Cześka za rączkę, w drugiej ręce niesie walizkę z tym, co najcenniejsze – z pieluszkami i innymi rzeczami dla Zosi oraz czymś do jedzenia i picia, a przez ramię ma przewieszony koc, bo jeśli nasze rzeczy w rowie nie przetrwają, chociaż ten koc nam pozostanie. Marysia niesie Zosię w beciku.

Jak ciężko idzie się po tak nierównym gruncie! Moje półbuciki są pełne piachu. Nie ma czasu, by go wysypać, bo i tak nie dotrzemy kroku grupie. Żołnierz niecierpliwi się, że nasza rodzina idzie zbyt wolno. Popędza nas.

Przed nami jakaś kobieta wlecze po nierównym gruncie spacerówkę, na której siedzi około trzyletni chłopiec. Niemiec zatrzymuje ją, każe Marysi położyć becik z

naszą Zosią obok nóg chłopca i w dalszej drodze pomaga kobiecie ciągnąć wózek.
Zastanawiam się:

- *Robi to aby nam pomóc, czy tylko po to, by przyspieszyć nasze tempo marszu i szybciej wykonać rozkaz?*

Bo rzeczywiście - Marysia bierze teraz walizkę z rąk Mamy i przyspieszamy kroku. Żołnierz, ciągnąc spacerówkę razem z matką chłopczyka, idzie teraz przed nami. Widzę go dokładnie: Karabin przewieszony przez ramię, plecak, pas z nabojami, manierka. Gdy odwraca głowę, spod hełmu spogląda sympatyczna twarz. Jest młody, wysoki, przystojny. Ale zaraz przychodzi myśl:

- *Ten człowiek należy do armii, która napadła na nas i wywołała dramaty które teraz przeżywamy. Może wstąpił do tej armii na ochotnika? Jeśli tak, jest naszym wrogiem. Ale ...ten człowiek pomaga nam. Doceniam to i jestem mu wdzięczna, gdyż w tej chwili jest to bardzo ważne. Może jest to dobry człowiek, który trafił do wojska nie jako ochotnik, ale dlatego, że został po prostu powołany rozkazem?*

I znów powraca refleksja:

- *Pomaga, czy chce jedynie jak najszybciej wykonać rozkaz?*

- *Jakie to wszystko skomplikowane...*

Tak czy inaczej, dobrze że żołnierz nas prowadzi, bo przez cały czas słyhać z różnych stron odgłosy dalszej i bliższej strzelaniny, a tu gdzie idziemy, jest stosunkowo spokojnie.

Dochodzimy do rozległej łąki. Żołnierz każe nam tu pozostać. Zakończył swoją powinność i znika. Na łące siedzą już ludzie w małych grupach, płacząc i zawodząc. Ktoś mówi, że to Żydzi, którzy uciekli z miasta. Siadamy i my na trawie. Przed oczami wstrząsający widok: płonący Łaskarzew. W pewnej chwili pojawia się obok nas kilku Niemców na rostrych koniach. Mają czarne mundury, a na czapkach - metalowe znaki przedstawiające czaszkę. W dłoniach trzymają pistolety. Przez lornetkę, podawaną z ręki do ręki, obserwują z wyraźnym zadowoleniem pożogę miasta. Boję się ich. Mama nakrywa mnie i Cześka kocem, byśmy nie oglądali tego, co nas otacza. Słyszę kilka blisko padających strzałów, a po każdym lament zawodzących ludzi odżywa na moment na nowo. Mam nadzieję, że strzelano tylko w powietrze, na postrach, że nikt z siedzących na łące nie zginął.

Zbliża się wieczór, kiedy nasza grupa, wyrusza samodzielnie w drogę powrotną. W rowie pozostawiliśmy nasze rzeczy i trochę jedzenia, ale perspektywa spędzenia nocy na pogorzelsku sprawia, że atmosfera w naszym pochodzie jest nad wyraz ponura. Dopiero kiedy idąc przez las nie napotykamy śladów pożaru, pojawia się nadzieja... I rzeczywiście - po dośściu na miejsce okazuje się, że nasza nadzieja przybrała realny kształt: drewniane wille stoją nietknięte pożarem! Powód? - może Niemcy chcieli oszczędzić las?

Stwierdzenie że mamy dach nad głową, jest dla nas w tym momencie najważniejsze. Wydobywamy nasze bagaże z rowu, otrzepujemy piach, rozchodzimy się po izbach i nad domkami letniska zapada noc, znaczone łunami pożarów i odgłosami frontowych działań, które przesunęły się gdzieś dalej.

Miasto Łaskarzew zamienione zostało w zgliszczca. Pożoga pochłonęła kościół,

domy, sklepy i zakłady rzemieślnicze. W okolicy zapanowały dotkliwie problemy zaopatrzeniowe. Najbardziej odczuwamy brak chleba. Mieszkańcy letniska wędrują po chleb do oddalonej o wiele kilometrów miejscowości. Taka wyprawa trwa kilka godzin, gdyż po pokonaniu drogi, trzeba jeszcze stać w długiej kolejce. Ponieważ potrzebujących jest bardzo dużo, ustalono, że każdy klient nabyć może tylko jeden bochenek. Z rodzin w których jest dorastająca młodzież, maszeruje po chleb kilka osób i każda przynosi po jednym bochenku. Ale zdobytego z takim trudem chleba, nikt nie odstąpi sąsiadom. Nikt nie ośmieli się też prosić o odstąpienie, bo – jak wiadomo – w liczniejszych rodzinach jest większe zapotrzebowanie na żywność. To zrozumiałe. Mimo to, jeden z naszych seniorów pewnego dnia dzieli się z nami nie tylko przyniesionym chlebem, ale wręcza Mamusi kupioną gdzieś przy okazji zasypkę dla niemowląt.

Chleba nie mamy, bo Mamusia nie ma sił, by przejść daleką drogę, Marysi nie chce wykorzystywać, a ja jestem za mała, by takiej wyprawie sprostać. Brak chleba nie znaczy jednak, że cierpimy głód. Od rolników udało się kupić kapustę i ziemniaki. Mamy też przywiezioną ze Zbąszynia wielką puszkę ze smalcem przetopionym z kawałkami wędzonki. Wprawdzie zawartość tej puszkę niepokojąco się zmniejsza, ale na razie mamy zupy z kapusty i ziemniaków, ze skromnym dodatkiem tłuszczu. To fakt, że nie smakują mi te zupy, ale rozumiem sytuację i jem to, co dostępne. Cześka trudno do tego nakłonić. Nie chce jeść zup i uporczywie domaga się chleba. Któregoś dnia siedzi na progu domu i płacze. Zaniepokojona sąsiadka pyta:

- *Dlaczego płaczesz Cześku? Czy coś się stało?*

- *Mama nie chce mi dać chleba!* - odpowiada *czterolatek ze skargą w głosie.*

Po chwili zdjęta litością sąsiadka, wręcza mojemu bratu skibkę chleba ze smalcem. Dzieciak jest uszczęśliwiony, a ja mam żal do brata, że żebrze.

W „potrzasku”

Mimo że nie mieliśmy prasy ani radia, szybko dotarła do nas wieść o zbrojnym wtargnięciu armii sowieckiej na wschodnie tereny Polski. Troska o los bliskich którzy udali się na wschód, ogromnie wzrasta. Wszyscy mówią teraz tylko o tym. Czekamy w napięciu na jakąś wiadomość. Którejś nocy śni mi się Tatus: zgarbiony, blady, w łachmanach, z ciężkim workiem na plecach. Ten sen mnie przeraża. Modlę się żarliwie o powrót Tatusia.

Informacja, że powróciło dwóch celników, elektryzuje wszystkich. Zbiegają się kobiety i dzieci. Otaczają przybyłych i – nie bacząc na ich zmęczenie - zasypują pytaniami, z których najważniejsze to:

- *Dlaczego nie wrócili wszyscy? Co z pozostałymi?*

Jestem i ja wśród zgromadzonych i słucham w napięciu każdego słowa przybyłych, którzy - choć znużeni drogą – opowiadają swoje przeżycia.

Gdy wieść o zbrojnym wkroczeniu armii czerwonej do Polski dotarła do naszych celników, doznali szoku. Stwierdzili, że znaleźli się jakby w „potrzasku”- pomiędzy dwoma najeźdźcami. Po podjęciu drogi powrotnej, nie mogli niestety liczyć na żaden środek lokomocji. Szli więc pieszo, a zmęczeni i głodni, zaglądali po drodze do wiejskich zagród, by poprosić o sprzedanie chleba, czy innego pożywienia. Przy okazji usłyszeli od miejscowej ludności, że wraz z wkroczeniem czerwonoarmistów

do Polski, zachwiane zostały panujące dotąd dobrosąsiedzkie stosunki pomiędzy mieszkańcami Kresów. U niektórych osób spośród mniejszości narodowej pojawiły się nagle nienawiść i donosicielstwo. Życzliwi ludzie radzili celnikom, by dla bezpieczeństwa podzielili się na mniejsze grupy i zamienili mundury na cywilną odzież, a przynajmniej poodcinali od mundurów metalowe guziki z orzełkami, które mogą „kłuć w oczy” ludzi negatywnie nastawionych wobec polskiej inteligencji. Radzono też, by w dalszym marszu unikać głównych dróg, na których łatwo wpaść w ręce sowieckich żołnierzy czy ukraińskich bojówek. Po naradzie, celnicy postanowili podzielić się na małe grupy (po dwóch - trzech) i wzmóc czujność podczas poszukiwania pożywienia. To rozproszenie i utrata kontaktu sprawiło, że panowie, którzy jako pierwsi powrócili do Łaskarzewa, nie potrafili nam nic powiedzieć o pozostałych kolegach.

Przeżyliśmy pewne rozczarowanie, ale wzrosła też nadzieja: Przybyli pierwsi, przyjdą i następni. I tak rzeczywiście się stało. Na lotnisko ściągały następne grupy. Jeden z przybyłych powiedział, że w drodze spotkał naszego Tatę całego i zdrowego. Koledzy musieli się rozstać, ale wiadomość ta dodała nam otuchy. Czekaaliśmy, a tymczasem na terenach zajętych przez armię czerwoną było coraz bardziej niebezpiecznie. Doszło do tego, że poszczególne grupy naszych mężczyzn w ciągu dnia kryły się w lasach, a marsze kontynuowały nocą, klucząc po bezdrożach różnymi ścieżkami, co opóźniało powroty. Zamieniono też mundury na cywilną odzież.

Pamiętam dokładnie moment, kiedy do naszej izby wpadła zdyszana, ale rozpromieniona młoda sąsiadka (z jej balkonu widać było bramę lotniska) i zawołała od progu do Mamy:

- *Pani mąż wraca!*

Słyszając to, w jednej chwili znalazłam się na schodach. Ogarnęła mnie nieopisana radość. Czesiek pobiegł za mną i tak się rozpędził, że przed domem nawet mnie wyprzedził. Od bramy lotniska zbliżało się trzech mężczyzn. Był wśród nich Tatuś! Świat zawirował mi przed oczami. Chciałam czym prędzej rzucić się Ojcu na szyję. Tymczasem mój braciszek zatrzymał się nagle. Pewnie nie uwierzył, że ten człowiek w wyświechtanym ubraniu, w berecie na głowie i z gęstym, czarnym zarostem na twarzy – to jego ojciec. Dopiero widząc moją uszczęśliwioną buzię, odrzucił wątpliwości. Tatuś przygarnął nas do siebie z wielką radością i ... ogromną ulgą. Kiedy bowiem na finiszu swojego trudnego powrotu pytał pewnego człowieka, czy w lotnisku koło Łaskarzewa wszyscy żyją, usłyszał odpowiedź, że podobno zginęła tam tylko jedna kobieta z małym dzieckiem. Nie trudno sobie wyobrazić, jaki niepokój targał wtedy Tata. Jednak – jak powiedział później – gdy zobaczył nas, wybiegających mu naprzeciw w radosnych podskokach, był już pewny, że tragedia o której słyszał, nie dotyczyła naszej rodziny.

Powrót

Od chwili gdy celnicy zaczęli wracać do Łaskarzewa, gorącym tematem stał się powrót do Zbąszynia. Mówiono:

- *Mosty pozrywane, kolejną zawładnęli Niemcy. Droga powrotna będzie bardzo trudna. Ale jeśli Ruscy dotrą aż tutaj, powrót stanie się jeszcze trudniejszy, lub wręcz niemożliwy.*

Sprawa wyjazdu nabrała rumieńców. Czas naglił. Każdy starał się na własną rękę wynająć jakiś wóz u okolicznych rolników, by na początek dostać się przynajmniej za Wisłę. I tak w pogodny dzień, wczesnym rankiem wytoczył się za bramę letniska sznur skromniutkich zaprzęgów, wiozących rodziny celników i ich bagaże. Jadąc przez las, mijaliśmy straszliwie okaleczone pociskami, połamane drzewa. To, że w takim otoczeniu ocalała (wspomniana w jednym z poprzednich rozdziałów) statua Matki Bożej, wydawało się wprost cudem. Potem jechaliśmy przez ulice spalonego Łaskarzewa. Makabryczny obraz. Słyszeliśmy już wcześniej, że najbliższy most na Wiśle jest zerwany i będziemy musieli skorzystać z przeprawy promowej. Jazda ku tej przeprawie była bardzo uciążliwa, gdyż odbyła się bocznymi, nieutwardzonymi drogami, na których koła wozów obite żelaznymi obręczami, grzęzły niesamowicie. W najbardziej newralgicznych miejscach, gdy zaprzężony do naszego wozu siwek, tylko z największym trudem ciągnął wóz, pozostawała na wozie z bagażami tylko Mama z niemowlęciem, a reszta – to znaczy Tata, Marysia, Czesiek, ja i woźnica – szliśmy pieszo. Miejscami Tata pchał wóz, by pomóc konikowi.

Po dotarciu nad brzeg Wisły, ujrzałam w oddali leżące w nurtach rzeki przęsła zwałonego mostu. Nasze wozy zatrzymały się na dużej, przybrzeżnej, leśnej polanie. Koczowało tam mrowie ludzi. Jak usłyszeliśmy, niektórzy z nich czekają tu już od wielu dni, by dostać się na prom.

- *Więc to aż tak trudne?* - pomyślałam z niepokojem.

W pobliżu zobaczyłam dużą grupę polskich żołnierzy – teraz jeńców. Siedzieli na ziemi, w płaszczach zarzuconych na ramiona, przygnębieni i zrezygnowani, pod niemiecką strażą. Ich widok bardzo mnie zasmucił. Jeden z nich wyjął ze swego chlebaka i wręczył mnie i Cześkowi po dwa duże, wojskowe suchary z kminkiem. Jeden zjadłam od razu, drugi schowałam. Ich smak pamiętam do dziś.

Stoimy przy „swoich” wozach, czekając na rozwój wydarzeń. Z rozmów które słyszę wynika, że koledzy Taty (nie wiem, ilu osób to dotyczy i kogo) mają przy sobie stare, niemieckie dokumenty, wystawione w okresie zaborów, takie jak akt urodzenia, czy świadectwo szkolne. Moi rodzice takich dokumentów z sobą nie zabrali. To nie w ich stylu.

- *W takim razie nie puszczą was za Wisłę* – mówi jeden z celników, a jego słowa, wypowiedziane zdecydowanym tonem, napawają mnie ogromnym lękiem. Wszak tylu ludzi koczuje tu bezskutecznie, czekając na przeprawę promową! Boję się bardzo, że Niemcy nas zatrzymają. O swój los martwi się też Marysia, mówiąc ze strachem w oczach:

- *Państwa to może puszczą, bo znacie język niemiecki. Ale co będzie ze mną?*

Na te słowa Mama, choć i ją słowa celnika bardzo zaniepokoiły, reaguje stanowczo:

- *Marysiu, nie zostawimy cię tutaj samej. Jeśli ciebie nie puszczą, zostaniemy także my.* Moje obawy rosną z każdą minutą. Na polanie pojawia się w otoczeniu świty niemiecki oficer wyższej rangi. Jest gruby, w eleganckim płaszczu z jakimiś sznurami na ramieniu i odznaczeniami. Jego strój uzupełniają czarne, błyszczące, wysokie buty. Prawdopodobnie przybył tu konno, bo w rękę trzyma pejcz. Staje na wolnej przestrzeni, a obok ustawiają się w szeregu jego towarzysze. Myślę sobie:

- *Od tego człowieka zależeć będzie, kto tego dnia dostanie się na prom.*

Mój lęk, by nam się to udało, sięga zenitu. Niemcy dają znak, że kwalifikacja

rozpoczęta. Zauważam, że moi zdeterminowani Rodzice chcą mieć to już jak najszybciej za sobą.

- *Idziemy!* - mówi Mama.

Podchodzimy jako pierwsi, a ja mam pełną świadomość ważności tej chwili: Wiem, że Rodzice nie mają żadnych niemieckich dokumentów. Wiem, że jeśli nawet puszcza nas na prom, pozostaje problem Marysi. Gdy ją zatrzymają, pozostaniemy i my w tym beznadziejnym miejscu. Okropność! Modłę się w duchu, by do tego nie doszło.

Stajemy w szeregu naprzeciwko komisji. Tata podaje Niemcom polskie dokumenty. Przeglądają je, a oficer stawia pytania, na które, wyprzedzając Ojca, odpowiada głównie Mama. Trwa to dość długo. Nie rozumiem oczywiście ani słowa. Widzę jedynie, jak żołnierze lustrują nas uważnym wzrokiem, a oficer po zadaniu szeregu pytań i wysłuchaniu odpowiedzi, milcząc smaga lekko pejczem po swych błyszczących, czarnych butach, jakby zastanawiając się, jaką podjąć decyzję. Ten moment, jak i moje spięcie, pamiętam do dziś bardzo dokładnie. Za kilka sekund ręka z pejczem podnosi się wolnym ruchem, wskazując kierunek przeprawy, a jednocześnie padają krótkie słowa:

- *Auf die Fähre!*

Na twarzach rodziców widzę ulgę. Słowa te znaczyły "Na prom!"

Schodzimy po skarpie nad brzeg Wisły.

- *Jak to się stało, że mnie puścili?* - zastanawia się uszczęśliwiona Marysia.

- *Powiedziałam, że jesteś moją córką* – odpowiada Mama.

Następuje załadunek. Na promie stoją trzy wozy, trzy wyprężone konie, trzech woźniców i trzy rodziny zbąszyńskich celników. Tyle mieści prom. Przewoźnik daje znak – prom gotowy do odbicia.

Ale...cóż to? - Po skarpie biegną w naszym kierunku dwaj niemieccy żołnierze. Gestykują i wołają:

- *Anhalten! Anhalten!*

Widzę zdenerwowanie dorosłych i słyszę słowa, pełne niepokoju:

- *Zatrzymują prom! Dlaczego? O co chodzi? Mają jakieś zastrzeżenia? Coś poszło nie tak? Każą nam wysiąść?*

Jestem zdruzgotana:

- *Więc jednak nie wypuszczą nas za Wisłę!*

Żołnierze są już blisko. Wskakują na prom i... dają znak przewoźnikowi, że może ruszać. Jak widać... chodziło im tylko o to, by dostać się na drugi brzeg. Są w doskonałym nastroju, zadowoleni, roześmiani. A polscy pasażerowie długo nie mogą otrząsnąć się z przykrego doznania.

Za rzeką następuje zaprzęganie koni do wozów i dalsza jazda. W drodze tracimy łączność z rodzinami, które przebyły Wisłę promem razem z nami. Docieramy do Kozienic. Rozstajemy się z woźnicą, który wróci do przeprawy, a my zostajemy wśród nieznanym mi ludzi na jakimś niewybrukowanym placu.

Pamiętam, że było już zupełnie ciemno, gdy wraz z dużą grupą polskich rodzin, eskortowani przez niemieckiego żołnierza, trafiliśmy do siedziby jakiejś szkoły. W salach lekcyjnych, których podłogi pokryte zostały warstwą słomy, spędziliśmy noc. Rano tatuś wyszedł na miasto, by zorientować się w możliwościach kontynuowania podróży. Siedząc na słomie, gryzłam zachowanego suchara, otrzymanego nad Wisłą

od polskiego żołnierza, podczas gdy raz po raz przechodzili tuż obok nas niemieccy żołnierze, niosący naręczę książek. Wyglądało na to, że przemieszczają bibliotekę szkolną w inne miejsce. W pewnej chwili, spoglądając przez okno zauważyłam, że na placu przed budynkiem płonie ognisko, a Niemcy wrzucają wynoszone książki w ogień.

- *Mamusiu! Oni palą książki na stosie!* - powiedziałam oburzona.

- *Ledwie weszli do naszego kraju, a już niszczą polską kulturę* – stwierdziła ze smutkiem Mama.

Kiedy po chwili kolejny żołnierz z naręczem książek przechodził obok nas, mały tomik upadł na słomę. Niemiec nie zauważył tego i szedł dalej, a Mama wsunęła książkę pod słomę. Chciała ocalić chociaż ten jeden egzemplarz. Ale by go uratować, trzeba było zabrać go stąd. Dlatego, mimo dużego obciążenia tobołkami i naszego trudnego położenia, książka dołączyła do naszych bagaży. Dodam, że dojechała z nami do Zbąszynia, a następnie - podczas naszej tułaczki w latach okupacji niemieckiej - przechodziła wraz z naszym domowym księgozbiorem ciężkie koleje losu, to znaczy przewożenie w różne miejsca i ukrywanie przed Niemcami w nieodpowiednich dla książek warunkach. Ale przetrwała wszystkie burze i choć mocno sfatygowana, znajduje się do dziś jako pamiątka wojennych przeżyć w zbiorach mojej siostry Zosi.

Nasz dalszy etap powrotu do Zbąszynia odbywał się zaprzęgami konnymi. Przypadek sprawił, że na rynku jednego z miast, spotkaliśmy dwie rodziny celnicze, powracające z Łaskarzewa, w tym naczelnika zbąszyńskiego urzędu celnego. Podczas spotkania stwierdzono, że po trudach dotychczasowej podróży jesteśmy wszyscy u kresu sił i zdecydowano zgodnie, że trzeba zrobić jedną dobrą przerwę i chociaż przez jedną noc wyspać się po ludzku. Każda rodzina znalazła nocleg na własną rękę, a następnego ranka trzech zbąszyńskich celników spotkało się w umówionym miejscu, by wspólnie znaleźć możliwość dalszej podróży. Los im sprzyjał. W mieście natknęli się na niemiecką, wojskową ciężarówkę, z której wysiadło dwóch żołnierzy. Nawiązali z nimi rozmowę i okazało się, że obydwaj kierowcy mają rozkaz wyjazdu w godzinach późnowieczornych do Poznania. Udało się namówić żołnierzy, by za sutą opłatą zabrali na ciężarówkę trzy zbąszyńskie rodziny. Gdy było już zupełnie ciemno, zgodnie z umową, czekaliśmy na ulicy gotowi do drogi. Za chwilę podjechała odkryta ciężarówka, na której w pośpiechu i możliwie jak najciszej ulokowaliśmy nasz bagaż i zajęliśmy miejsce na tobołkach i walizkach. Wiało, było zimno, ale rozgrzewała nas myśl, że pokonujemy następny etap w drodze do Zbąszynia. Wartę w Poznaniu przebyliśmy po pontonowym moście. Bałam się, bo samochód kołysał się w różne strony, a woda chlupotała złowieszczo. W obawie przed kontrolą wojskowego patrolu, żołnierze starali się pozbyć jak najszybciej nielegalnych „pasażerów”, więc na jakiejś ciemnej, małej uliczce, pomagali nam nawet w opuszczeniu wozu i zrzucali nasze bagaże na bruk, po czym pośpiesznie odjechali, a trzy rodziny, po zebraniu z jezdni swoich walizek i tobołków, rozeszły się w różne strony. Nasza rodzina udała się prosto na dworzec kolejowy. Tatuś rozpytywał kolejarzy, czy dojazd do stacji Zbąszyń jest możliwy. Odpowiedź była pozytywna, co oznaczało, że most kolejowy na Obrze w Zbąszyniu jest przejezdny. (Jak później słyszałam, most został tylko trochę uszkodzony, bo jego wysadzeniu przeszkodził niemiecki dywersant.) Jednak gdy Tata, kupując bilety, zapytał o czas odjazdu pociągu do Zbąszynia, usłyszał:

- *Łee, panie - tego nikt nie jest w stanie przewidzieć. Rozkłady jazdy nie są*

przestrzegane. Trzeba po prostu cierpliwie czekać.

Podchodzimy pod drzwi poczekalni, a tam umieszczono duży napis: *Nur für Deutsche*. Tego Rodzice nie przewidzieli. I choć byliśmy wszyscy zmęczeni i zziębnięci, Rodzicom pozostało jedynie ułożyć bagaże na peronie przy ścianie dworca i kazać nam usiąść na walizkach.

- *Dlaczego nie idziemy na poczekalnię?* - pytam zaskoczona.

- *Bo na drzwiach jest napis: „Tylko dla Niemców”* – odpowiada Tata.

Po długim oczekiwaniu jest wreszcie pociąg do Zbąszynia. Pociąg osobowy! Wsiadamy. Po doświadczeniach ostatnich tygodni, w wagonie trzeciej klasy z drewnianymi ławkami, czuję się jak otoczona komfortem. Droga mija szybko. Na budynku zbąszyńskiego dworca napis: *Bentschen*.

Wbrew wcześniejszym obawom, Zbąszyń nie znalazł się na głównej linii niemieckiego ataku i miasto ocalało. W drodze z dworca do domu, Mamusia mówi do Marysi:

- *Popatrz – gdybyśmy się stąd nie ruszali, nie przeżylibyśmy tylu niebezpieczeństw. Tylko kto mógł to przewidzieć – prawda?*

- *Ale za to będzie co wspominać i opowiadać* – śmieje się rezolutna Marysia.

Klucze do naszego mieszkania okazały się zbędne, gdyż zamek został wyrwany, a wszystkie pomieszczenia niesamowicie splądrowane i okradzione.

AL-KA